

Adam Poprawa

W kraju delt i elipsonów; nie wyłącznie, choć i tak nazbyt

1. W londyńskim żłobku praca była dobrze zorganizowana. W Dziale Warunkowania Neopawłowskiego pielęgniarki ustawiły na podłodze dużo wazonów z różami. Następnie, na polecenie dyrektora, rozłożyły wśród naczyń z kwiatami otwarte, kolorowe książki dla dzieci. Ośmiomiesięcznych podopiecznych, odzianych w przeznaczone dla kasty delt ubranka o barwie khaki, wwieziono na wysokich, wielopoziomowych wózkach. Pielęgniarki ułożyły niemowlęta na podłodze, odwracając je zaraz w kierunku książek i kwiatów. Rozpoczęło się zachwycone raczkowanie poznawcze, przerywane potężnymi sygnałami dźwiękowymi i łagodnymi elektrowstrząsami (metalowy fragment podłogi był podłączony do prądu).

„Książki i głośny hałas, kwiaty i elektrowstrząsy – już w niemowlęcym umyśle człony tych par są kojarzone, zaś po dwustu powtórzeniach takiej lub podobnej lekcji ulegną nierozzerwalnemu spojeniu. Co człowiek złączył, przyroda niezdolna jest rozłączyć. Wyrosną z »instynktownym«, jak mówią psychologowie, wstrętem do książek i kwiatów. Odruchy trwałe uwarunkowane. Z książkami i botaniką dadzą sobie spokój na całe życie”.

Taką pedagogikę dziecięcą przewidywał Huxley w *Nowym wspaniałym świecie*. Drzwi percepcji zamykałyby się zatem nader wcześniej, problem ich umycia przestałby mieć istotniejsze znaczenie. (A przy okazji: czy za czasów Blake’a wstawiano szyby w drzwiach? Pewnie tak, bo metal ni drewno nawet po długim czyszczeniu

nie zyskają na przezroczystości). Żeby nie skłamać, nie wożono mnie nigdy do żłobka ani nie mam doświadczeń jako ktoś oddający dzieci do tej instytucji, nie mogę więc z całą pewnością stwierdzić, czy podobne neopawłowowskie warunkowanie odbywa się również w Polsce. Wydaje się, że pewnie nie. Raczej nie. Źródła zjawisk społecznych muszą się przecież gdzieś znajdować, więc – kto wie?

2. Wydana w świetnej serii Naokoło Świata książka Teresy Hołówki *Delicje ciotki Dee* ukazała się w roku 1988, czyli w czasach, kiedy reportaż nie był jeszcze uważany za szczytowe osiągnięcie prozy polskiej. Z tych zapewne powodów rzecz nie była szeroko omawiana (w każdym razie takiej recepcji nie pamiętam), choć doczekała się kilku wydań. A gdyby tak na przełomie lat 80. i 90. odbyła się wielka debata narodowa na temat tego dziełka, może żylibyśmy dzisiaj w poważniejszym kraju? Nie ma powodu, by taką alternatywną historię wykluczać.

Hołówka spędziła 30 miesięcy na amerykańskim Środkowym Zachodzie. „Codzienność na Midweście okazała się bardzo egzotyczna, a żyjący nią ludzie – równie chwilami niepojęci jak Papuasi”. Dodać trzeba koniecznie, że autorka obracała się głównie w środowiskach inteligenckich; tak przynajmniej pod koniec lat 80. byłyby te grupy społeczne nazywane w Polsce. Wtedy jeszcze socjologiczne znaczenie terminu „inteligencja” nie budziło specjalnych wątpliwości ani krytycznych historii. Zaczęła się, skądinąd bardzo pożądana, wielka zmiana, i Polska szybko jęła papuasić (jeśli można tu kontynuować postkolonialną herezję). *Delicje ciotki Dee* wkrótce przestały być egzotyczne; dobrze dziś widać, że okazały się zapoznaną przestrogą, mimo że takiej roli autorka im raczej nie przypisywała.

„Książki wszakże są mniej niż niekonieczne. Przestronne wnętrza białych domków na Midweście (trzy sypialnie, duża kuchnia, garderoba, łazienka i olbrzymi living room) wypełnia się różnymi przedmiotami. Jedni kolekcjonują muszle morskie i kamienie, inni puszki po piwie i pseudoniemieckie kufle. Jeszcze inni – wypchane ptaki, stare zegary, hafty, bombonierki, narzędzia rolnicze. Nikt nie kolekcjonuje książek. [...] – Gdybyś żył w moim kraju – podpuszczam Geoffa, literaturoznawcę – to miałbyś półki aż pod sam sufit, a na nich wszystkich klasyków, nie tylko tę twoją Jane Austen. I po trochu z każdej przyległej dziedziny – z socjologii, historii, semiotyki, językoznawstwa. I jeszcze najświeższe pozycje, o których się myśli, że powinien je znać każdy humanista; pozycje, które uchodzą za wydarzenie. Przyjaciele pędziliby najpierw zobaczyć, co masz. Niejeden by zaraz coś pożyczył. Wiesz, u naszych jajogłowych półki z książkami to główna ozdoba salonu, a... raczej czegoś (salon w M-4?), co pełni podobne funkcje. – Po co? – w oczach Geoffa bezbrzeżne zdumienie – przecież jeśli się potrzebuje jakiegoś cytatu, można zrobić odbitkę. Jeśli musi się przeczytać jakaś praca, sprowadza się ją przez bibliotekę. Nie ma przecież sensu kupować wszystkiego, co powinno się znać. Nie mówiąc już o tym, że książki straszliwie gromadzą kurz. – No, a jak przychodzi ci ochota poczytać sobie, ot tak, dla przyjemności? [...] – Oszalałaś, kiedy ja miałbym mieć czas na czytanie dla przyjemności? Bez publikacji nie przedłużą mi kontraktu. I w ogóle, czy ty sobie wyobrażasz, ile godzin dziennie przygotowuję się do zajęć?”

A nie było jeszcze wtedy internetu. Minęło wszystkiego paręnaście lat i przyjacieli mówi mi w Polsce, że czyta już tylko takie formatu A4 (wydruki prac studenckich). Inna znajoma – że niezbyt zna literaturę współczesną, gdyż czyta głównie fragmenty prac magisterskich ze swojego seminarium. Pewna zaś przyjaciółka oświadczyła kiedyś z dosyć namiętnym przekonaniem: „A w Ameryce wcale tak nie jest, żeby mieć domy pełne książek”.

3. Ignacy Borejko, wraz z dwoma wnukami, wszedł do którejś poznańskiej pizzerii, udekorowanej książkami. Wśród nich, ku swojej radości, znajduje stary podręcznik. „– Bogucka, Niewiadomska, *Wypisy polskie* na klasę pierwszą! Gebethner i Wolff, rok tysiąc dziewięćset dwudziesty piąty! Spójrzcie, chłopcy! Uczyłem się z tego! Od sąsiedniego stolika dały się słyszeć śmiechy. Młodzi mężczyźni o ogolonych głowach, pożerający calzone, z rozbawieniem śledzili zachowanie dziadka. Towarzyszące im dziewczyny o włosach spalonych farbami nie mogły powstrzymać chichotu”.

Okazuje się, że niektóre książki zostały wyrównane do rozmiaru regałów. Borejko, co prawda bez pomocy tłumacza, usiłuje wyjaśnić sprawę polskiemu właścicielowi lokalu: „– To są wytwory ludzkiego ducha. Zapisano na tych kartkach myśli, utrwalono wzruszenia i uczucia. Dobry Boże, Heine! Był już palony na stosie. Ale czy Goethe mógł przypuszczać, że w dwudziestym pierwszym wieku, w Europie, będzie się przycinało jego dzieła, by ozdobić pizzerię?”

Epizod z *Języka Trolli*. Małgorzata Musierowicz od kilku już lat uchodzi w obiegach liberalnych i lewicowych za *bête noire*. Nie żeby była tak całkiem bez winy, niemniej pewna krytyczka poszybowała jak odrzutowiec: „Stanowiącą centrum Jeżycjady wyspę rodziny Borejków, epigonów formacji inteligentnej, otacza ocean przemocy, kłamstwa i głupoty. Społeczeństwo degeneruje się pod wpływem pogoni za forszą i kultury masowej. Zapomina o prawdziwych wartościach. Nie-Borejków łatwo rozpoznać – cuchną i mają rzadkie włosy, oglądają telewizję i nie znają na pamięć *Pana Tadeusza*. Często bywają agresywni. Taki obraz świadczy o wyniosłości autorki i utożsamiających się z Borejkami czytelników”.

No nie, droga autorko o imieniu znanym z Bagateli a-moll Beethovena. Czy naprawdę, jakby już doszło co do czego, wołałaby pani w tamtej pizzerii usiąść razem z łysymi i dziewczynami o okropnych włosach? Nie chce mi się wierzyć. Wołałbym z epigonami.

4. Nie widzieli swoich twarzy, zasłoniętych przez głęboko nasunięte kaptury od bluz. Szli z charakterystycznym dla młodego proletariatu rozkołysanym stawianiem kroków w miękkich butach. Co zrobię, że stereotyp? Tak byli odziani i obuci. Jeden opowiadał drugiemu. Szedłem w bezpieczniejszej odległości, niemniej w tych sferach mówi się głośno, dobrze więc słyszałem: „Kupiłem raz świni na imieniny książkę. Potem były moje imieniny i moja świnią też mi kupiła książkę. Potem był Mikołaj i choinka i znów żeśmy sobie pokupowali książki. Na następne imieniny znów dałem świni książkę i ona mi też znowu książkę. Ale porozmawialiśmy szczerze i żeśmy postanowili przerwać tę eskalację nienawiści”.

5. Pod koniec zimy 2016 roku, dokładnie 15 marca, na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej” pojawił się tytuł *Polak książek nie kocha*. W artykule przedstawiono kolejne najgorsze (tak, przecinek niepotrzebny) wyniki badań czytelnictwa w naszym kraju. O niektórych działaniach zmierzających do poprawienia tego stanu dyrektor Instytutu Książki Grzegorz Gauden powiedział: „Tak naprawdę leczymy Polaków ze wstrętów, których nabawili się w szkole”.

Proszę? W szkole, gdzie zadanie wiersza na pamięć wiąże się z ryzykiem zwinięcia uczniowskiej główki? Gdzie klasa, która w całości (w dwóch całościach, społecznej i lekturowej) przeczytała zadaną książkę, stałaby się podobna do Syzyfa opartego o kamień wtoczony właśnie na górę?

6. W pierwszej księdze narodowej epepei Mickiewicz przedstawił krótką charakterystykę rodzinną tytułowego bohatera:
„Nazywał się Soplica; wszyscy Soplicowie
Są jak wiadomo krzepcy, otyli i silni,
Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni”.

marzec 2016